Nr. 7. Lwów, 1. kwietnia 1903. Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

W dwudziestopięcioletnią rocznicę.

(Ciąg dalszy).

Szanowni czytelnicy przebiegając wraz z nami myślą dwudziestopięcioletnie dzieje Towarzystwa łowieckiego widzą, jak wiele pożytecznej pracy podjął jego Wydział, lecz każdy z nas wie także, że główną podporą i pomocą w usiłowaniach Towarzystwa jest jego organ *„Łowiec“*, który był zawsze wyrazem naszych myśli i uczuć, skarbnicą naszej wiedzy myśliwskiej i duszą naszego działania.

A jeżeli niejeden z nas, w tym roku jubileuszowym *„Łowca“*, biegnąc myślą w minione lata, wspominał z wdzięcznością o tych, którzy w toku lat dwudziestu pięciu oddawali naszej sprawie swą wiedzę i pracę, to niewątpliwie w tych wspomnieniach zaszczytne miejsce zajmować musi postać pierwszego redaktora *„Łowca“* śp. Józefa Łozińskiego.

Gdy przed ćwierć wiekiem powstać miało pierwsze w Galicyi, poważnie pojęte pismo łowieckie, nie łatwo było znaleść człowieka, któryby podołał zadaniu i mógł się podjąć jego redakcyi. Dziś, gdy *„Łowiec“* wyrobił wpośród swych

współpracowników niejednego dzielnego myśliwca-literata, pojąć nawet niełatwo, jak trudną było rzeczą kierować pierwszymi krokami fachowego pisma łowieckiego, dać mu formę, wprowadzić je na właściwe tory, dostarczyć mu interesującej treści i rozbudzić ducha i życie w gronie drzemiącej podówczas drużyny myśliwskiej.

Wybór pierwszego redaktora padł szczęśliwie na śp. Józefa Łozińskiego i zadecydował o losach „*Łowca*“.

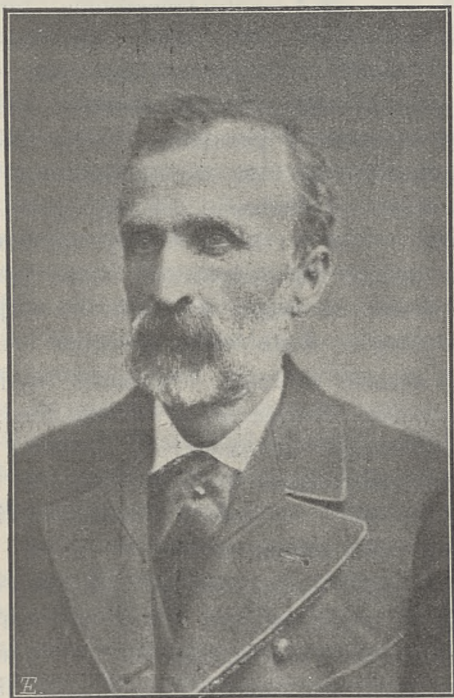
Z zawodu był nasz pierwszy redaktor kustoszem biblioteki poturzyckiej, będącej cennym działem bogatych zbiorów śp. hr. Włodzimierza Dieduszyckiego. W młodości swej chował się wspólnie z nieodżałowanej pamięci hr. Włodzimierzem, toteż przejął od niego żywe zamiłowanie przyrody, miłość dla ojczystych lasów i ich mieszkańców, a gdy żyłkę myśliwską, tkwiącą w duszy prawie każdego Polaka, jako zabytek dawnej rycerskiej przeszłości, poparła głęboka wiedza literacka, nabyta kilkudziesięcioletnią pracą w zawodzie bibliotekarza, urobił się typ człowieka, który jedynie mógł, w trudnych ówczesnych warunkach, podołać zadaniu kierownika pisma łowieckiego.

Z jakiem uczuciem przystępował nasz pierwszy redaktor do pracy, kładąc podwaliny do założenia „*Łowca*“, nigdybyśmy się tego nie dowiedzieli, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, iż od jego syna otrzymaliśmy ustęp z pamiętnika śp. Józefa Łozińskiego. Niechaj zatem on sam opowie to, co nam wolno było tylko odczuwać:

„Od roku 1878 objąłem redakcyę czasopisma „*Łowiec*“, organu gal. Towarzystwa łowieckiego, zawiązanego w r. 1876 głównie w celu strzeżenia ustawy łowieckiej i krzewienia racyonalnych zasad myśliwstwa. Podjąłem się tego zadania, nie bez wahania i wątpliwości, ażali mu podołać zdołam. Trudności były ogromne i pozornie nie do zwalczenia. Rzecz sama praktycznie nie była mi obcą; w dobrej pod tym względem byłem od dzieciństwa szkole, śród wytrawnych myśliwych, oddając się z zapałem, urządzanym w Poturzycy łowom, które miały w całym kraju rozgłos. Hr. Włodzimierz, sam znakomity myśliwy, zamiłowany w tym szlachetnym sporcie i oddający się mu z całym zasobem praktycznej i naukowej wiedzy, urządzał w swych obszernych kniejach, pełnych różnorodnej zwierzyny, wielkie łowy, trwające często nieprzerwanie, przez dwa i trzy tygodnie, na które zapraszał znakomitych myśliwych całego kraju. Brałem w tych wyprawach, prawdziwie rycerskich, gorący udział. Wspomnienia z tych czasów złożyłem w piśmie: „Akwarele myśliwskie Franciszka Tepy“, które do tego pamiętnika mego, jako dodatek charakteryzujący, tę chwilę mego życia, załączam.

Uległem naleganiom i przyjąłem redakcyę pisma, które mianem „*Łowiec*“ ochrzczono. Rozpisałem listy po całym kraju, zapraszając do współpracownictwa, rozglądnąłem się po całym obszarze literatury myśliwskiej polskiej i obcej, a znalazłem ją w znacznej liczbie w bibliotece muzealnej hr. Włodzimierza, i przystąpiłem do dzieła z otuchą, iż ono, po przełamaniu trudności z czasem rozwinie się na pożytek kraju. Wszelako zrazu spotykałem się tylko z niechęcią, niewiarą i oporem. Hr. Włodzimierz nie rokował pismu długiego życia, hr. Kazimierz Wodzicki, znakomity myśliwy i przyrodnik, na którego pomoc liczyłem, odmówił jej wprost, twierdząc, iż nasi myśliwi skorzy zawsze do gawędy, ale nie do pióra, że w ustalenie się, a nawet zainicyowanie pisma nie wierzy. Do pierwszych dwóch numerów, nie miałem prawie żadnego nadesłanego materyału i musiałem je wyłatać przedrukami, tłumaczeniami i własną pracą. Mozolnie zbierając szczegóły, rozsypane po różnych dziełach, obrobiłem dosyć obszernie, powabny dla myśliwych temat: „Puszcza Białowieska i żubry“, który ogłoszony od trzeciego numeru podobał się; umieściłem gorące odezwy, z prośbą o poparcie i pomoc. Gdy spostrzeżono, że pismo o własnych siłach, żwawo poczyna się krzątać około ustalenia swego bytu, gdy program jego przyjęto i pochwalono, gdy wreszcie obudziła się ambicya, iż myśliwi nasi, powinni mieć i utrzymywać własny swój organ, prysły lody obojętności, niechęci, niewiary i poczęto nadsyłać mi dosyć obfity materyał, bądź starannie obrobiony i gotowy do druku, bądź też surowy, który nieraz zupełnie przerabiać musiałem. Lubo pismo wychodziło raz na miesiąc, w zeszytach dwuarkuszowych, dawało mi jednak wiele pracy, zwłaszcza w roku pierwszym, nim dokładnie obznajomiłem się z przedmiotem, nabrałem rutyny redaktorskiej, i uzyskałem większą listę współpracowników, zwłaszcza pisać umiejących. Wyrobiłem sobie dzielnego później pomocnika, którego liczne prace umieszczane w „*Łowcu*“, pełne prawdy, humoru i staroszlacheckiej swady, wielce się podobały i stały się silną atrakcyą dla Towarzystwa łowieckiego i „*Łowca*“. Pomocnikiem tym był Aleksander Ubysz. Gdy mi z wielką nieśmiałością przyniósł pierwszy swój utwór pod tytułem „Chart“, spostrzegłem w tej nieudolnej pracy z łatwością niezwykły talent pisarski, bystry dar spostrzegawczy, rozległą fachową wiedzę i humory-

styczny nastrój szlacheckiej swady. Ale formy brakowało w zupełności, styl niepewny, niewprawny, rozwlekłość trywialna i pospolitość w wyrażaniu myśli były cechą tego próbnego utworu. Pozostawiwszy tylko treść rzeczy, obrobiłem ją z gruntu tak, że forma nadana była moją, a tylko treść autora. Nie gniewał się on za tę metamorfozę, owszem był mi wdzięcznym za nią i wdzięczność tę okazywał nawet wtedy, gdy wyrobiwszy sobie styl i sposób pisania, mało już mojej potrzebował pomocy. Był to człowiek z istotnym talentem wrodzonym, ale wykształcenia nie miał prawie żadnego, obszerną wiedzę swoją chwytał ze stosunków towarzyskich i z życia. Podobnych jemu utalentowanych pisarzy wyrobiło się przy *„Łowcu“*



Józef Łoziński,
pierwszy redaktor „Łowca“.

kilku, jak Weeber, Remiszewski, Kochanowski, Reichardt i inni i to poczytuję, sobie za zasługę, bom ich do tej pracy umiał zachęcić i do wytrwałości w niej pobudzić“.

„Pismo rozwijało się i zyskało wziętość i uznanie, nie tylko czytelników fachowych ale też u literatów i pisarzy, obojętnych dla sprawy myśliwskiej. W rocznikach *„Łowca“* znajdują się prace oryginalne Kraszewskiego, Małeckiego, Fredry, Sienkiewicza, Wład. Zawadzkiego, które niemało przyczyniły się do dalszego powodzenia. Najgorliwszymi protektorami i współpracownikami pisma stali się: hr. Kazimierz Wodzicki i hr. Leopold Starzeński. Za cel główny *„Łowca“* przyjąłem szerzenie nauki i wiedzy w tym rycerskim zawodzie, walkę z przesądami i starą rutyną, strzeżenie prawa i jego wymagań. Sam postanowiłem w monografiach dać wierny obraz natury, pożytku lub szkodliwości zwierząt łownych i dokonałem tego zadania, w kompletnym niemal cyklu takich obrazów. Miały one tę ujemną stronę, że były przeważnie teoretyczne, bo własne doświadczenie nie wiele mi dawało pomocy, ale ostatecznie były one pożyteczne, cenione i bardzo chętnie przyjmowane. Coraz szerzej rozwijało się współpracownictwo; nie tylko Galicya, ale cała Polska była „Łowcem“ żywo zainteresowaną i wiele z najdalszych nawet jej krańców otrzymywałem korespondencyi, drobnych zapisków i prac obszerniejszych“.

„Jak wyżej wspomniałem *„Łowiec“* był organem Towarzystwa łowieckiego, którego Wydział, wybierany na walnych zgromadzeniach, był przedstawicielem i zastępcą. Do tego Wydziału należałem zawsze, jako redaktor pisma i najdokładniej znający wszelkie bieżące sprawy myśliwstwa i towarzystwa, bez przerwy dla nich pracując. Brałem więc żywy i pożyteczny udział w obradach wydziałowych; gdy wszakże słuch mój coraz bardziej zanikał, a wreszcie niemal zupełnie przysłonił się grobową ciszą, musiałem usunąć się od zgromadzeń wydziałowych, wskutek czego zachwiała się jedność, jaka nas dotąd łączyła, powstały nieporozumienia, a nawet pretensye, których ani prostować, ani odpierać nie mogłem. Widząc to wszystko, ale głównie z powodu coraz bardziej zanikającego słuchu co zresztą i w redakcyjnych sprawach było mi tamą i przeszkodą postanowiłem zrzec się obowiązków redaktorskich i w kwietniu 1888 r. złożyłem Redakcyę *„Łowca“* w ręce Wydziału. Dziesięć lat i trzy miesiące sprawowałem tę czynność, lekką pozornie, ale w istocie mozolną i kłopotliwą“.

Oto są proste a tak wymowne, własne słowa naszego pierwszego redaktora, a jak bolesną była dla *„Łowca“* jego strata i jakiem cieszył się uznaniem, niechaj świadczy ustęp, który z upoważnieniem Wydziału Towarzystwa łowieckiego poświęcił w kwietniowym numerze *„Łowiec“* ustępującemu redaktorowi, przez usta p. Bronisława Komorowskiego, obejmującego kierunek wydawnictwa:

„Po dziesięciu latach gorliwej i jak najstaranniejszej pracy, dotychczasowy czcigodny Redaktor *„Łowca“* p. Józef Łoziński, złożył Redakcyę w ręce Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, który wydanie numeru kwietniowego poruczył podpisanemu Członkowi Wydziału“.

„Godząc się z przykrą koniecznością, wywiązuję się według sił z tego zaszczytnego zadania, nie mogę wszakże bez szczerego żalu myśleć

o tej zmianle. Usuwa się od kierownictwa sympatycznym naszym „*Łowcem*“ mąż doświadczony i rzetelnie sprawie łowiectwa krajowego oddany, mąż, którego jedynie zabiegom, trudom i zamiłowaniu powiodło się stworzyć i na wysokości zadania utrzymywać nasze czasopismo przez lat dziesiątek. Zasługi ustępującego redaktora są też powszechnie uznane, a to nawet w sferach, nic wspólnego z łowiectwem nie mających, oprócz zamiłowania w rzeczach szlachetnych i pożytecznych. Co się zaś tyczy Szanownych Czytelników „*Łowca*“ i myśliwych naszych, wiem, że trafię tylko w ich myśl i uczucie, wyrażając tu Czcigodnemu p. Józefowi Łozińskiemu zapewnienie, iż umiejętną a uczciwą pracę Jego na zawsze we wdzięcznej zachowamy pamięci“.

Józef Łoziński zmarł w r. 1898, otaczany ogólną czcią i szacunkiem, a niejeden z nas, który sięga pamięcią w czasy pierwszego dziesięciolecia istnienia „*Łowca*“ przypomina sobie sympatyczną i szlachetną postać naszego pierwszego redaktora, który z ciszy bibliotecznych pyłów, w oficynach muzeum im. Dzieduszyckich, bez rozgłosu i chęci zyskania poklasku ale pilnie, wiernie, umiejętnie i z zapałem kładł podwaliny naszego pisma i ogólnej wiedzy myśliwskiej.

C. d. n.



Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

1. Horbaczyński Michał.
2. Kruszyński Władysław.
3. Zamorski.
4. Ormezowski Juliusz.
5. Doubrawski Hugo.
6. Sekora Adam.
7. Towarzystwo myśliwskie w Bolechowie.



TA PIERWSZA.

Bo pierwsze z wiosną słonki ćwirknięcie.
Pierwszy jej przeciąg nagły koło mnie,
Tak myśliwego stropi z nienacka,
Tak mu krew całą do gruntu wzburzy,
Tak go zaślepi, tak go odurzy,
Jak pierwsza w życiu miłośna schadzka...

(A. BARTELS).



Są już... przyleciały!... Któregoż myśliwego słowa te nie zelektryzują, nie wzruszą! Czy to ten brzydki długodziób, sam przez się, taki urok na nas wywiera i sercu myśliwego przyspieszonem tempem bić każe? Nie koniecznie, raczej nadzieja polowania na ciągu, nadzieja tej poezyi łowieckiej, tych niezapomnianych wieczorów i poranków, kiedy piersi myśliwego przyrodnika napawają się balsamiczną i odurzającą wonią wiosny i budzącej się do życia przyrody, a oczy i uszy widzą i słyszą rzeczy tajemnicze, którychby może nigdy nie podpatrzyły i nie podsłuchały, gdyby polowania na ciągu nie było — to jest wzruszenia przyczyną — słonki tylko pozorem.

Idę co wieczór na ciąg, i chociaż bardzo często nic nie przynoszę, przecież nigdy jeszcze nie żałowałem ani trudu, ani fatygi, ani przykrości powrotu w ciemną noc, po bezdennem często błocie, a nazajutrz i dni następnych idę znowu i to czasem z małą nadzieją, zobaczenia choćby tylko jednej słonki.

Idąc na ciąg i na stanowisku stojąc, ile wrażeń — ileż spostrzeżeń zrobić można! Te krótkie chwile wieczorne, pełne uroku tysiącami głosów do duszy naszej przemawiają, człek stoi rozmodlony, prawie jak w kościele, troski codziennego życia zapomniane w tej chwili, tylko wielka olbrzymia pieśń miłości i zmartwychwstania, śpiewana przez miliony, płynie do Pana Zastępów i porywa ze sobą duszę myśliwego. Kto wielkości i roskoszy chwili takiej pojąć i zrozumieć nie może, nie zasługuje na myśliwego miano.

Myślę, że nawet zimne dusze tak zwanych „Festmetermannów“ i „zbieraczy kości“ zapominają w takiej chwili o „Schussbuchu“, „klupach„ i bielejących na ścianie czaszkach i do Stwórcy wraz z całą przyrodą duchem się wznoszą.

Myśliwy przyrodnik zobaczy i usłyszy więcej przez tych kilka kwadransów, niż włóczący się przez cały dzień po lesie pan „Festmetermann“ z nieodstępnym drutowłosym, a głupim jak cielę „gebrauchshundem“ u nogi i choć często ciąg zawiedzie, trafi się nieraz łup królewski, w postaci wielkiego drapieżnika z familii orłów lub sokołów, które teraz podróż wiosenną na północ odbywają, niejeden kocur wiejski, skradający się do ptaszków w polu, dostanie zasłużoną zapłatę w postaci naboju śrótu, czasami lisia łotrowska fizyognomia, lub świętoszkowata łysinka borsuka wychyli się z krzaków i w łeb dostanie, nim zniknąć zdoła.

Oko myśliwego hodowcy przygląda się z lubością gromadkom ciągnących sarn, poważne mamy-siuty, wkrótce już radosnego familijnego wypadku się spodziewające i butne rogaczyki, z wielkimi już a nieoczyszczonymi rogami, przemykają przez linie w gęste zapusty na nocleg —tu znów mama Kopyrzyna wypada z krzaków, zamiast dzieci pilnować, urządza sobie karnawał, za nią dwóch gachów zacietrzewionych, nie widząc myśliwego, wypadło na linię i dalej na pojedynek, parskają i drapią się zawzięcie, aż turzyca strzępami leci — w krzakach drozdy i kosy opowiadają sobie przygody ostatniej podróży i choć oczka już im się kleją, szczebiocząna pół sennym głosem — tam daleko na błotach, bąk huczy i bekasy beczą, nie dziw więc, że czasem dopiero drugą albo trzecią słonkę usłyszę i pierwsze nie strzelane idą.

Pisali już i sprzeczali się ludzie nieraz, czy polowanie wiosenne na ciągu, jest ze stanowiska łowiecko-przyrodniczego rzeczą dozwoloną, czy nie. Naturalnie każdy przyrodnik powie bez wahania, że strzelanie parujących się słonek i zabijanie samic bezpośrednio przed lęgiem, a często już i z jajami, jest po prostu zbrodnią łowiecką. Ja choć niekompetentny w tej kwestyi, powiem krótko: polowania wiosennego na ciągu nie wyrzekiemy się nigdy, bo wyrzec się nie możemy, choćby panowie w okularach nie wiedzieć jak krzyczeli, ale... umiarkowanie i wstrzemięźliwość bracia myśliwi, nie mordujcie na ciągu wiosennym słonek bez liku, uniewinniając się pustą gadaniną, że słonki, które teraz puścimy, w jesieni do nas nie przylecą, (co i po części jest prawdą, bo jesienne ciągi prawie jedynie od wpływów klimatycznych i meteorologicznych zależą), wszak lazaroni włoscy mordujący setki tysięcy naszych ptaszków spiewających, tę samą mają wymówkę.

Niech każdy zabije sobie jedną, dwie, a najwyżej trzy i basta, psa na ciąg brać nie trzeba i do słonki tylko wtedy strzelać, gdy jest pewność, że spadnie jak kamień, szukanie dobre w jesieni, na wiosnę postrzałków być nie powinno, nie powinno się nigdy strzelać na tak zwanym drugim ciągu, który, jak to powszechnie wiadomo, odbywa się w pół godziny po ciągu głównym i to już zawsze zmrokiem. Mianowicie parki, które się już połączyły i odnalazły, zrywają się, aby poszukać dogodnego miejsca na gruchanie i nocleg. Strzelanie w ciemności do takich parek i kaleczenie tylko niepotrzebne po największej części samic, (podczas gdy strzelając do chrapiących na ciągu głównym zabija się przeważnie tylko samce), i w ogóle huk strzału wśród ciemności i ciszy już usypiającego lasu, jest aktem brutalnym, prawdziwego myśliwego niegodnym.

Słonka na ciągu wiosennym nie jest zwierzyną do zapełniania wielką ilością liczb „Schussbuchu“, panowie których żądza czynów ujścia szuka, niech sobie sprawią puhacza, a będą mieć wiele przyjemności z pożytkiem dla łowiectwa i bez szkody dla biednych słonek, którym za tyle przyjemności i roskoszy myśliwskiej, jakiej nam dostarczają, także jakieś się względy należą.

Pozwalam sobie wreszcie nadmienić, że zabijanie słonek późno ciągnących, to jest takich, które ciągną już w dwa tygodnie po ciągu głównym, słonek już ciężkich, pozostających najczęściej już u nas na czas lęgu i polowanie na wiosnę na słonki z psem, na buszowanego uważam za jedno i to samo, co ubicie kotnej siuty lub kaczki na jajach, to jest za zwykłe kłusownictwo, a człowiek, który to czyni, to zwykły kłusownik, a nie żaden myśliwy.

Strzałki, dnia 25. marca 1903.

Adam Ożarowski.



Korespondencye.

Kamionka Strumiłowa, 15. marca 1903.

Aby kogoś potępić, lub o kimś sąd wydać, należy zawsze sprawę należycie zbadać. Mam tu na myśli korespondencyę p. Józefa Bartmańskiego z Tadania zamieszczoną w numerze 5. „*Łowca*“ na str. 57. Korespondencyą tą nie czuję się bynajmniej dotknięty, bo tylko „prawda w oczy kole“, nieprawda nigdy — zmuszony jednak jestem słów parę skreślić, nie w tej myśli, by się przed p. Bartmańskim usprawiedliwiać, tylko dlatego, by na liczne listowne zapytania pp. czytelników „*Łowca*“, o ile artykuł p. Bartmańskiego na prawdzie polega — sprawę w prawdziwem świetle przedstawić.

Dnia 21. grudnia 1902 pies mój „Rek“, rasy „Stichelhaar“ wydaliwszy się z domu popołudniu, o godzinie 2-giej, więcej do domu nie powrócił. Dnia 22. grudnia 1902, o godzinie 7-ej rano, jadąc w towarzystwie dwóch znajomych panów, przez wieś Tadanie (majątek korespondenta) oddalonej o 5 klm. od Kamionki Strumiłowej, spostrzegam ku mojemu przerażeniu, psa mojego leżącego bez życia, tuż przy drodze publicznej — opodal leśniczówki tadańskiej.

Idąc za farbą i śladami psa, zaszliśmy na obejście leśniczówki, gdzie skonstatowaliśmy na świeżej ponowie, że pies ten na obejściu leśniczówki strzelony został.

Jak się później dowiedziałem, zabił psa tego dozorca lasowy, p. Dobrostański.

Wytoczyłem więc sprawę całą na drogę sądową — w drodze karnej, „o złośliwc uszkodzenie cudzej własności“. P. Dobrostański przedstawił sądowi świadka X., który zeznał do protokołu, że pies ten rozdarł raz zająca na polach tadańskich. Na podstawie zeznań tego świadka zastanowił sąd dochodzenie karne. Ponieważ pewny jestem i byłem, że ów pies, który rozdarł zająca, nie był psem moim — postanowiłem zaskarżyć p. Dobrostańskiego w drodze cywilnej o odszkodowanie, w kwocie 300 koron.

Do rozprawy, która odbyła się w Kamionce Strumiłowej w dniu 4. marca 1903, przyprowadził p. Dobrostański dwóch świadków, a to X. i Y. Świadkowie ci, po zaprzysiężeniu ich — zeznali, a mianowicie świadek X., że raz widział psa podobnego, jak biegł przez pole i spłoszył bażanty — szkody jednak żadnej

nie zrobił, świadek Y. gajowy dworski zeznał, że psa podobnego widział jeden, jedyny raz — jak biegł przez las — szkody jednak żadnej nie zrobił. Dodam, że podobnych psów jest w Kamionce cztery.

Po przesłuchaniu tych świadków, zamknął sędzia postępowanie dowodowe. Wyroku jeszcze nie wydano — ma być wyrok wydany na piśmie. Kto sprawę wygra, na razie przewidzieć nie można — zapewniony jednak jestem przez biegłych prawników, że sprawę wygrać muszę, dlatego, że żaden ze świadków tego nie udowodni że owym psem, który robił szkodę po polu jest pies mój — a po drugie dlatego, że został zabity na leśniczówce przy drodze publicznej położonej, a zatem ani na polu, ani w lesie (§. 43. ustawy łowieckiej). Nadmienić mi to wypada, że pies mój był zawsze na uwięzi, tego bowiem wymagała tresura psa, po myśli teoryi „Oswalda“, a że w dniu krytycznym zabiegł aż na leśniczówkę do Tadania — to stać się mogło, że albo zapędził się za goniącą się suką — albo za sankami, w których moi znajomi na spacer ku Tadaniom wyjechali.

Tyle co do psa, a teraz słów parę co do bażantów.

Na terytoryum myśliwskiem w N., gdzie dzierzawię prawo polowania, a które graniczy z terytoryum myśliwskiem p. Bartmańskiego, wywiodło się w darninkach, po polach sześć stadek bażantów, — gniazdko bażancie, założone w sitowiach wybrali „kochani pastuszkowie“. Owych sześciu stadek strzegli dozorcy moi, jak oka w głowie — za co też częste „napiwki“ odemnie otrzymywali, bo bażanty te sprawiały mi niewymowną uciechę. Było ogółem 57 sztuk, w tem około 40 kogutów.

Późną jesienią przy sposobności polowania na kuropatwy, zezwoliłem gościom moim na odstrzelenie czterech kogutów. Sam do bażantów nie strzelałem ani razu. Padły cztery koguty, a między nimi jeden zupełnie biały i jedna młoda kura, która porwawszy się ze stadkiem kuropatw, padła strzelona przypadkowo, przez młodego myśliwego p. M. Zabito razem pięć sztuk. Więcej do bażantów nie strzelano ani razu — o czem p. Bartmańskiego zapewniam — ani ja sam, ani goście, „kumpani“ moi, bo nie pozwoliłem nato, choć się co parę kroków z kartofel porywały. Nie zezwoliłem strzelać do nich, nie przez wzgląd na sąsiada lub na to, co on powie, lecz dlatego, że będąc od najmłodszych lat myśliwym i dzierżawcą licznych polowań, staram się nie o wytępienie, lecz rozmnożenie zwierza, bo nie ilość zabitej, lecz tylko ilość widzianej zwierzyny, napawa mię prawdziwą, myśliwską roskoszą.

Nieprawdą jest zatem, jakoby na terytoryum mojem każda kura, która się pokaże, padała pod strzałem sąsiada drapieżnika i jego „kumpanów.“

Nie winię zresztą p. Bartmańskiego, że podobny artykuł w *„Łowcu“* umieścił, bo skreślił go w dobrej wierze na podstawie doniesień swojej zacnej służby — nie badając autentyczności tychże. A że służba p. Bartmańskiego zawsze prawdę mówi, miałem dowodów dosyć przy rozprawach sądowych, o zabitego psa. Sam leśniczy Dobrostański przyświeca jej dobrym przykładem, zapewniając sąd, że psa mojego strzelał w lesie — w chwili gdy gonił za bażantami, gdy tymczasem skonstatowałem naocznie, w towarzystwie dwóch jeszcze myśliwych w kilkanaście godzin po zabiciu psa, że psa mojego zabił na obejściu leśniczówki, o czem nas ślady psa, farba i strzał śrótowy na śniegu, aż nadto dobrze zapewniły.

Hipolit Neumann.



Lwów, dnia 22. marca 1903.

Ciągle i ciągle czytamy w *„Łowcu“*, napływające ze wszech stron skargi, na klęskę kłusownictwa. Jedni się żalą, inni podają różne sposoby i środki zaradcze, a złe wciąż istnieje i prawie, że coraz jest gorzej. Po prawdzie też złe to, strasznie jest trudne do wykorzenienia.

Nawiązując do tej biedy, chciałbym się zwrócić w jednej należącej do tych spraw właśnie kwestyi, do Szanownego Wydziału Towarzystwa naszego, bo zdaje mi się, że tu Wydział ingerencyą swoją mógłby choć w części złemu zaradzić.

Nieraz zdarzało mi się widzieć po handlach zwierzyny, rożki z rogaczów i to czasem w dość znacznej ilości.

Faktem jest niezaprzeczonym i żadnej wątpliwości nie ulegającym, że wszystkie te rogacze pochodzić muszą wprost z kradzieży leśnej t. j. od kłusowników.

Żadne absolutnie gospodarstwo łowieckie, choćby najmniejsze, nie sprzeda rogacza z rogami, to jest rzeczą ogólnie wiadomą, z drugiej zaś strony wiem, że kupujący bardzo mało, a właściwie wcale się o to nie troszczą, skąd ofiarowana na sprzedaż zwierzyna pochodzi i jaką drogą się do nich dostanie, byleby handel szedł. Świadectwa pochodzenia zaś istnieją wprawdzie, ale prawie tylko w teoryi na formularzach, skąd do praktyki dyablo daleka droga.

Zwierzyna, przynajmniej w dziewiątej części ogólnej ilości (myślę naturalnie o kradzieży) musi przechodzić do miasta przez rogatki i najczęściej podlega opłacie akcyzowej.

Otóż możeby Szanowny Wydział mógł się udać do prezydyum miasta, z prośbą o zarządzenie, by straż akcyzowa rogaczów przynajmniej, z rogami przywożonych, nie wpuszczała do miasta bez zbadania skąd pochodzą, i o podejrzanych wypadkach uwiadamiała Towarzystwo łowieckie. Bardzo łatwo jest dojść, skąd kto przynosi lub przywozi jakikolwiek przedmiot do miasta. Towarzystwu zdaje mi się, w takich wypadkach nie przyczyniłoby wiele trudu, nawet ewentualne przeprowadzenie korespondencyi z odnośnym właścicielem polowania, której koszta albo i nawet taksę za te czynności, gdyby Towarzystwo jaką oznaczyło, każdy właściciel interesowany z pewnością najchętniej wyrówna. Co się zaś tyczy czynności organów miejskich, to zdaje mi się, że i miasto na tej procedurze tylkoby zyskać mogło, jako właściciel dość rozległych lasów, których też pewno kłusownicy nie oszczędzają.

Gdyby mi ktoś chciał zarzucić, że akcyza miejska ma dość innych zajęć, albo że trudnoby jej było podejrzane wypadki wyłapywać, pozwolę sobie przytoczyć pewien fakcik.

Lwów ma połączenia pocztowe z bliższą okolicą, oprócz kolei także zapomocą wozów i mniejszych wózków konnych. Jednego z pocztylionów podejrzywano o prze-

mytnictwo. Ponieważ wozy pocztowe są wolne od procederu rogatkowego, więc śledzono go w mieście i przyłapano, jak wyjmował z wózka przewiezione bez opłaty zające. Winowajcę z zającami przytrzymano, sprawiedliwości stało się zadość i miasto szkody nie poniosło. Fakt ten, zresztą już dość dawny, świadczy o tem, że przy dobrych chęciach wszystko można zrobić.

Mimochodem wspomnę, że nie słyszałem wtedy, żeby kto spytał, skąd się te zające wzięły na wózku.

Wprawdzie na rogacze jeszcze dość czasu, bo do 15. maja co najmniej, ale tu chodzi o kłusowników, którzy czasu ochrony nie uznają.

Lwów konsumuje zwierzynę wszelkiego rodzaju, jak rok długi, bez względu na jakąkolwiek ochronę; sprzedaje się ją po piwnicach, kawałkami do domów prywatnych, czy restauracyi lub handelków, gdzie nieraz można w marcu, lub kwietniu trafić w pasztecie na własnego zająca lub sarnę, tylko że się o tem nie wie. Nieraz mi się zdarzało w tych miesiącach, spotkać z zachwalaniem „pasztet świeży, z samej dziczyzny“, a niektórzy kupcy chwalą się wprost, otwarcie, że mają każdą zwierzynę w każdej porze: „Ja mam takiego, co mi przynosi“ dodaje z tajemniczą miną. Wprost nie ma się pojęcia, ile Lwów, jak i każde wielkie miasto spożywa zwierzyny kradzionej; gdyby było możliwe zestawić ją w jakie cyfry, jestem pewny, że byłyby to cyfry olbrzymie. Prowincyonalne kłusownictwo dla prowincyi i dla siebie, jest prawie niczem wobec tego. A temu możnaby poniekąd zapobiedz, tylko przez ścisłe i nieustanne czuwanie nad przywozem do miasta.

Może który z Szanownych Członków Wydziału Towarzystwa, zechce tę sprawę poruszyć na posiedzeniu i przedłożyć do zastanowienia się nad nią; zdaje mi się, że wszelki trud stokrotnieby się opłacił, a sprawa to nie do lekceważenia.

Dodać tu muszę, że pomysł uciekania się do pomocy zarządu miasta, nie jest nowy, ani mój własny.

Przed dwoma laty propozycyę tę. w sprawie przywozu kuropatw przedłożył Wydziałowi p. Hamerski, a prezydyum miasta chętnie pomocy swej użyczyło.

Kuropatwy przypominają mi pewien fakt, bardzo niedawny. W końcu stycznia b. r. wszedłszy do jednego z handlów, tak zwanych śniadaniowych, zobaczyłem na stoliku parę wychudzonych kuropatw. Oprócz mnie i właściciela nikogo w sklepie nie było, więc zwróciłem mu bardzo delikatnie uwagę, że narazić się może na nieprzyjemności, kupując kuropatwy w czasie ochronnym i że sprzedający prawdopodobnie nie był ich legalnym właścicielem.

Na to mi odpowiedział: „Kuropatw nie kupiłem od kłusownika, tylko od właściciela, obywatela, od pana...“ Podziękowałem prędko za dalszy ciąg informacyi, nazwiska nie ciekawy, i wyniosłem się ze sklepu, ale ciężki wstyd miałem przed kupcem za tego właściciela i obywatela, który wynędzniałe kuropatwy, w styczniu po mrozach sprzedaje. Mamyż się dziwić później, gdy kłusownik w marcu zająca zastrzeli!...

W przedostatnim numerze *„Łowca“* przeczytałem korespondencyę hr. Br. Starzeńskiego, o tasaku, w ostatnim zaś odpowiedź p. Z. M. Po przeczytaniu obu słuszność przyznałbym hr. Starzeńskiemu, bo tasak w znaczeniu cięższego noża myśliwskiego od dawna nie jest używany i wskrzeszenie to wydaje mi się bardzo trafne.

Wyrażenie to w znaczeniu noża używanego w wojsku lub kuchni tutaj nas nie powinno obchodzić, gdyż chodzi nam o nóż myśliwski. Przytem zauważyć muszę, że wyraz ten we wschodniej Galicyi w żadnem prawie znaczeniu nie jest znany, gdyż tam używają wyrazu „siekacz“.

Inicyatywa hr. Sumińskiego, tworzenia naszego słownictwa łowieckiego, szerokiem odbiła się echem uznania i wdzięczności, nie tylko w naszych kołach myśliwskich, ale i dalej nawet u bratniego nam narodu, czego dowodem list czeskiego redaktora z uznaniem i serdeczną ofiarą własnej skarbnicy. Każdy krok na tej drodze winniśmy też witać choćby częścią tego uznania, a zawsze życzliwie i wdzięcznie, za trud i chęci dobre przynajmniej, nawet gdyby one nie były szczęśliwe.

Dlatego, wyznam szczerze, przykre na mnie wrażenie wywarło zakończenie, trochę ironiczne, korespondencyi p. Z. M.

Jeżelibym się mylił co do intencyi, to najserdeczniej Szanownego korespondenta przepraszam. Niestety jednak w *„Łowcu“* naszym, może za często spotykamy się z ironią, a czasem nawet, sit venia verbo, po prostu z kpinami, a to nie jest zdrowe ani dla pisma ani dla czytelników, szczególniej w krytykach, których zadaniem jest błędy wytykać, choćby surowo, ale nie szydzić, broń Boże. Krytyka, ironią zaprawiona, przechodzi łatwo i niepostrzeżenie w satyrę, a na satyry w *„Łowcu„* miejsca nie ma. Przytem jeszcze jedno pozwolę sobie zauważyć: Pamiętają zapewne wszyscy łaskawi Czytelnicy, jak poprzedni nasz Wiceprezes, ordynat Czarkowski-Golejewski, nawoływał wszystkich do częstego pisywania do *„Łowca“*, twierdząc słusznie, że piszemy sami dla siebie, niech każdy pisze, jak umie, byle z dobrą wolą, bo tylko w ten sposób możemy zbierać materyał literacki dla naszego organu. To samo nawoływanie słyszeliśmy niedawno od hr. Bielskiego. Jeźli kto, posłuchawszy wezwania, napisze, i na wstępie spotka się z ostrzem ironii, satyry, na długo mu może odejść ochota do pisania, a czyja z tego szkoda? nasza własna.

Rozpisałem się, może szeroko z żalami. Powiedziałby mi kto, żem może osobiście interesowany, albo może chodzi mi o osobę zaatakowanego autora, do którego korespondencyi uwag parę nawiązałem. Naprzód, szczerze się przyznam, prawdą jest, jedno i drugie, i o Starzeńskiego mi chodzi, bo znam jego chęć szczerą, jak najlepszego służenia sprawie łowieckiej na każdem polu, a i mnie się parę razy porządnie dostało i co gorsza, nie w *„Łowcu“*, ale pozaocznie, przez trzecie i czwarte osoby. A można było napisać, jeźli się coś nie podobało, *„Łowiec“* stoi otworem; możebyśmy się i nauczyli czego i przybyłoby korespondencyi. Nomina sunt odiosa, ale może sobie ktoś przypomni.

Tu jednak nie własny interes przezemnie przemawia; piszę tych słów kilka, pro publico bono, a szczerze i otwarcie, w bawełnę nie owijając, bo tej zasady się trzymam, że *„Łowiec“* jest nasz, a my w nim dla siebie piszemy i pracujemy.

Teofil Gordaszewski.



Norka.

Łasica norka, (wydra norka, w. nurek, w. norek, norka) *mustela lutreola*, stanowi przechodni gatunek między wydrami (lutra) i łasicami (mustela, czyli putorius). Dochodzi do 50 cm. długości, ogon do 15 cm., nogi stosunkowo wyższe niż u wydry, (lutra vulgaris), palce z błoną mniej rozwiniętą, niż u tej ostatniej. Maści ciemno-brunatnej, prawie czarno-brunatnej, dłuższe włosy twarde i sztywne, ciemne, a pod nimi puch bardzo gęsty, jaśniejszy, w szary wpadający, ze spodu, szara z brunatnym odcieniem. Żyje ona w miejscach podobnych, jak wydra, lecz daleko bardziej skryty żywot prowadzi, dlatego zdaje się być rzadszą, niż jest w rzeczywistości. Do wody idzie tylko z konieczności, a nie z zamiłowania i dla przyjemności, jak wydra. Szkodliwość jej jest bardzo względną. Na wielkich błotach i stawach, jest pożyteczną, gdyż niszczy żmije, żaby i większe owady, tak bardzo dla ryb szkodliwe. Tych ostatnich nie tyka, chyba w ostatecznej potrzebie. Jeżeli mieszkanie sobie obierze w suchszej okolicy, przy strumyku, mniejszej sadzawce, lub zarośniętem źródlisku, to staje się najgorszym tępicielem zwierzyny. Polując w nocy, wyławia dorosłe ptaki, w porze lęgowej wypija jaja, i to nietylko ptactwu lądowemu, lecz także błotnemu i wodnemu, a w czasie zimowej biedy zakrada się do miejskich kurników, czyniąc tam spustoszenia, podobnie jak tchórz, i tak jak ten nie zadawala się tem, co jej do wyżywienia potrzebne, lecz morduje dla przyjemności. Futro o wiele lichsze, niż kuny lub wydry, nie więcej warte, jak 3—4 złr. Norka, jak to wspomniałem, jest samoistnym gatunkiem, budową ciała stoi pośródku między wydrami i łasicami, a nie jest żadnym mieszańcem wydry z tchórzem, ani z jakimkolwiek innym zwierzem.*) Opowiadania dawne o bastardach, między zwierzętami ssącemi na wolności, są niedorzecznością kwalifikującą się do rzędu bajek, takich, jak naprzykład, że żyrafa jest bastardem wielbłąda i pantery, albo że łoś, chorując na epilepsyę leczy się z niej w ten sposób, że prawą tylną racicę wkłada sobie do lewego ucha i t. d. Takim „cudom“ wierzyć mogli chyba przedwieczni dziecinni przyrodnicy przy zielonym stoliku, którzy oprócz koni fiakierskich i pudli, oglądali zwierzęta tylko na półmisku, a o ich życiu słyszeli tylko od wesołych myśliwych, drwiących sobie z łatwowiernych „mędrców“. Zwierzę, o którem wspomina korespondencya z Bolechowa jest właśnie norką we własnej skórze i osobie. Łasica norka, czyli mówiąc potocznym językiem norka, nurka, czyli nurek, znajduje się w Muzeum imienia Dzieduszyckich, w sali Nr. V. A., w szafie Nr. 43, pod szczegółowymi numerami 201. do 206., a jej udatny portret w Brehma „Thierleben“, w tomie drugim. *Lis.*



Z Poznańskiego, d. 19. marca 1903.

Przed 40 laty dzikie króliki, (lapeny) rzadkością były w Wielkopolsce. Dziś, ci natrętni, z Francyi i z Belgii pochodzący osadnicy, zagajenia nasze zmarnować pragną. Silimy się na sposoby i środki, by ich się pozbyć, ale mnożne to, jak i protektor Polaków, hr. Buelow skonstatował, plemię broni się przed zagładą skutecznie. Wyjętem jest z pod prawa; każdy je może tępić i mordować, ale, lubo zając jest mocniejszym, ma poparcie wszelkie, królik go zwycięża.

Poza królikami rozszerzają się po Piasta równinach, jelenie. Nie ma już prawie większego lasu, gdzieby ich nie było. Ich pobyt zdradzają całe obszary obłuskanych sosnowych tyczkowin i kopytami zgniecone młode zagajenia. Przytem pozwalają one borowym i sąsiadom sadzić kartofle, siać owies i żyto, ale ich za to od sprzętu uwalniają, bo same kartofle rogami wyradlą, a kłosy zetną i spożyją. Prawda, że to ładny przedstawia widoczek, gdy król naszych lasów dumnie, w wielkiej koronie po uprawach leśnych kroczy, ale ciężkie czasy zmuszają nas do ciągłej przeciw nieprzyjaźnemu królowi opozycyi, zwłaszcza, gdy sąsiadującym wieśniakom odszkodowania płacić musimy.

W lasach miłosławskich ubito podczas r. 1863, gdy załogujące tu ówczas pruskie wojsko codzień prawie naszą młodzież, do Królestwa przez kordon się przedzierającą, aresztowało i tu w więzieniu zamykało, pięć jeleni, które widocznie Opatrzność na pożywienie dla szlachetnych bohaterów zesłała, bo ani przedtem, ani długi czas potem, nikt tu o jeleniach nie słyszał. Pracę ich w niszczeniu lasów wykonywali wówczas tylko żydzi wspólnie z pędrakami. Dopiero znów około 1893 r. pojedyńcze jeleniego rodu osobniki, od czasu do czasu zjawiać się poczęły, a gdy p. Kościelski, dobra miłosławskie zakupił, większa ich tu stale osiedliła się ilość. Dziwna przecież rzecz, że prawie same się tu tylko spotyka rogacze, a pojedyncze łania tylko rzadko w odwiedziny do swych krewniaków przybywają. Nikt też, oprócz jednego z borowych, nie słyszał ryczących w jesieni, zabawy weselnej pragnących, adonisów. W ostatnich latach ubito ich tylko dziewięć, bo je czasem umyślnie ochraniano. Do łani niktby tu, z wyjątkiem może sąsiadujących niby kulturnych kolonistów nie strzelał.

Krótko przed mięsopustami r. b. polecił p. Kościelski swemu nadleśniczemu postarać się o to, by p. Henryk Mańkowski z Winnogóry, koniecznie ubił kapitalnego rogacza. Zaraz też nazajutrz obtropili rewirowi borowi kilka w obwodzie „Jeleńcem“ zwanym jeleni i usiłowali je na p. Mańkowskiego z gąszczu wydusić, ale zmyślne olbrzymy umiejętnie się za ich linię cofnęły. Pchano je następnie w odwrotnym kierunku, ale także bezskutecznie.

Gdy za parę dni borowi, pobyt jeleni przy „Sarnim Dole“ skonstatowali i zaraz tę obsadę dwoma sznurami płotów otoczyli, ostrożna zwierzyna tak samo się przedarła jak poprzednio przez obławę. Po krótkiej naradzie postanowiono ten sam miot powtórzyć. Ledwo jednakże borowi na swe poprzednie stanowiska wrócili i jeszcze w zagajenie nie weszli, nadbiegło od prawego skrzydła pięć rogaczy, dwa kolosalne i trzy mniejsze, przedefilowały przed nimi wzdłuż płotów, aż do połowy wysokości obsady, uderzyły nagle w bok na płoty, mniejsze przebiegły, uchyliwszy się, pod temi, a dwa największe przez rów, zagajenie odgraniczający, i przez sznury skoczyły. Pierwszemu, lubo sznur wyższy dwa metry nad ziemią się wznosił, udało się przeskoczyć go znakomicie. Drugi jednakże, staruszek, zahaczył się

*) Patrz „Łowiec“ Nr. 7. str. 73. Korespondencya z Bolechowa.

o sznur wierzchni rogami, obalił w drodze mu stojącego chłopaka i uniósł płoty z sobą około 20 kroków, aż się sznur tak wyprężył, że się dalej ciągnąć nie dał. Poplątany jeleń obalił się na haliźnie i leżał, szamocąc się, dłużej, niż minutę. Najbliżsi borowi byliby zdążyli go pochwycić i skrępować, ale nie przyszło im na myśl. Wreszcie szesnastak się podniósł i z dużym czerwonym płatem ku granicznym gąszczom pośpieszył. Niezwykły, a przerażający był to widok, gdy chłopak, uderzony kopytem, a jeden grubym sznurem powikłany, przy sobie leżeli, a widzowie zdziwieni, odurzeni, bezradnie się przypatrywali. Szczęściem też było dla szesnastaka, że na brzegu gąszczu stracił z rogów czerwoną chorągiewkę, bo przecież chorągiewek czerwonej barwy u nas nosić nie wolno.

Koniec końców, komentując każdy szczegół, w złym do domu wróciliśmy humorze, zamierzając z pierwszej korzystać ponowy. Śnieżek w miesopusty upadł, ale królowa naszej sceny zjechała do Poznania, jelenie więc miały spokój. I nadszedł dzień 28. lutego, ostatni dzień polowania i znów przy „Sarnim Dole“ obtropiono i opłotowano pożądaną zwierzynę. Uradzono, że myśliwi ustawią się, gdzie się przeszłym razem przez płoty przebili lasu królowie, a obława od przeciwnej wyruszy strony. Cisza zupełna! Obława nie robi żadnego szelestu, ani sojki się nie płoszą, ani krzyczą, tylko sikoreczki na brzegu gąszczu szczebiocą. Od czasu do czasu zjawia się jednak szarak, lub kilka saren, co udowadnia, że obława się zbliża. Naraz zjawiają się przed p. Mańkowskim trzy rogacze, dwa szóstaki i jeden olbrzym. Dochodzą do brzegu, gdzie pozrzucane z drzew, leżą na ziemi płoty. I o dziwy, stanęły przed nimi, choć się przeszły raz wiszących i powiewających nie zlękły, ale stanęły tak niekorzystnie, że dwa mniejsze wielkiego zakrywały. Prawda, że odległość nie była wielką i kula byłaby wszystkie trzy przebiła, ale p. Mańkowskiemu, tylko o największego chodziło, zbliżał się więc do nich, lecz nagle w bok się zwracając, koło sąsiedniego przebiegły strzelca. Ten posłał im kulę, ale bezskutecznie Borowi meldują teraz, że w „Jeleńcu“ też się dwa kapitalne znajdują pojedynki. Dążymy tam. W miocie pierwszym nic nam się nie pokazało. Na miot drugi ustawił nadleśniczy p. Mańkowskiego, za kępą niższą wśród starszego zagajenia sośniny, robiąc tę uwagę, iż tu, gdy jeleń pobiegnie, rogi nad drzewkami sterczeć mu będą. Ledwo też ruszyli, o kilometr od nas ustawieni borowi, p. Mańkowski już się składa, kapitalny dwunastak o rzadkiej grubości i wysokości rogach, połową korpusu na wąski wysuwa się dukcik i przewróceniem się na grzbiet odbiór kuli poświadcza. Kula przeszyła kark tuż przy korpusie. Olbrzym, nim się obalił, już nie żył.

Nie chcąc szanownego czytelnika dłużej wielkopolskimi jeleniami zaprzątać i nudzić, tę tylko dodam uwagę, że fabrykanci i nimrodzi Niemcy twierdzą powszechnie, iż jelenie najwięcej z wszystkiej zwierzyny respektują płoty, tymczasem tutejsze nic sobie z tych rozwieszonych nie robią straszków, jak to i w dawniejszych latach nieraz udowodniły. Może to jednak kolor płotów na niemieckie jelenie inne i na polskie inne wywiera wrażenie, bo przecież płoty przeważnie są białe i czerwone, a te kolory są podobno „staatsgähferlich“.

Słonki u nas jeszcze nie ciągną, a do Berlina dziś, św. Józef, pierwszą do centralnej hali na licytacyę przysłano. Zapłacono za nią 4 M. 65 fen.

Jaj czajczych nie było dotąd na targu.

Żurawniki, 25. stycznia 1903.

Ciepło niebywałe, dni nie marcowe, lecz chyba czerwcowe, wieczory cudne, a pomimo tego o naszych długodzióbach ani słychu. Od tygodnia szukam w dzień, jeżdżę co dzień na ciągi i nie ma ich. Są już kszyki, jączyki, bociany etc., a las rozbrzmiewa wieczorem tysiącem głosów różnorodnych już przybyłych i przelatujących z leży zimowych ptaków, a tych, o które nam najbardziej chodzi jak nie ma, tak nie ma. Nie tracę jednak nadziei, bo przeglądając notatki myśliwskie z lat dwudziestu kilku, przekonowuję się, że przed 26. marca nie strzelałem do słonek nigdy, a zaręczam, że pilnowałem ich przelotu dokładnie. Wprawdzie przed tym czasem przylatują i pokazują się słonki, gdzieniegdzie, ale to nie ciąg główny mojem zdaniem, lecz zdaje się niespokojne duchy rodu słonczego, lub może zbyt gorącego temperamentu długodzióby. Jadąc przedwczoraj na ciąg, wybrałem się wcześniej, by poszukać trochę słonek na ich żerowiskach i napawać się widokiem sarn, które wychodzą teraz stadkami i stadami z mego i sąsiednich lasów na łąki. Łąki te pokryte mniejszemi i większemi kępami drzew z podszyciem, ściągają teraz sarny młodziutką trawką, którą one chciwie skubią, wygrzewając się zarazem w ciepłem słońcu wiosennem. Stanąwszy na pagórku, zacząłem przyglądać się sarnom rachując stadka, gdy w oddali spostrzegłem jedno, które jakieś jasne kolor miało, a co dziwniejsza nie na łące, lecz na półmorgowym może kawałku zoranej łąki chodziło. Podjechawszy bliżej przekonałem się, że to nie sarny, lecz stadko żórawi. Zapomniałem o sarnach i słonkach, wytężając cały spryt myśliwski nad planem, jakby je podjechać lub podejść. Objechawszy wielkiem kołem, zeskoczyłem z wózka kryty kępą drzew podszytych krzakami i młodą sosninką. Jakże się cieszyłem, że wziąłem dnia tego jakby wiedziony przeczuciem nie gładką strzelbę, lecz dryling, bo z doświadczenia wiedziałem, że na strzał śrótowy żóraw nie da się podejść. Zaczęło się podchodzenie nie zbyt wygodne, bo miejscami przez miejsca bagniste, lecz z tem wszystkiem dobre krycie dające. Dochodzę nareszcie do kraju lasu i przez krzaki widzę siwiejące się żórawie, które zbierały owies, jak później się przekonałem, na świeżo zasianem chłopskiem poletku. Strzelić nie mogłem, bo obawiałem się, by kula ekspresowa, o krzak zawadziwszy nie straciła kierunku. Na czworakach więc podsunąłem się kilka kroków, lecz widzę, że żórawie już zaniepokojone, bo zaczynają ku łące zdążać, oglądając się ku mnie. Nie było więc co zwlekać, podniosłem szybko wizer dyrekcyjny, ostro zmierzyłem i ściągnąłem. Żóraw rozłożył skrzydła i jak kosa podcięty padł na miejscu. Przypadkowo wybrałem samca z prześlicznemi piórami fryzowanemi, jak u strusia zwieszającemi się po bokach. Strzeliłem na 152 kroków, szczęśliwie liczba parzysta! (dobry mój znajomy, dowcipny p. W. P. powiada, że przy opowiadaniu o dalekich strzałach trzeba uważać, czy opowiadający, poda odległość liczbę parzystą czy nie, liczba parzysta, jego zdaniem jest prawdziwą, gdy nieparzysta

daje do myślenia). Niestety strzelałem z ekspresa kaliber 450 i to kulą ekspanzywną. Kula przeszedłszy przez żurawia, wychodząc uczyniła wielkie spustoszenia, lecz p. Hartel, któremu dałem go do wypchania, obiecuje, że sztuka jego na to poradzi. Żal mi biedaków żórawi, że tak niegościnnie je przyjąłem, lecz w takich razach zawsze żal za późno przychodzi.

Przy końcu mej korespondencyi muszę uczynić małe sprostowania. W ostatnim numerze *„Łowca“* w korespondencyi bar. Horocha, opisującej polowanie w Jaryczowie, zaszła pomyłka: p. Kanty Stojowski nie do zajęcy zrobił dubletę, lecz do dwu kapitalnych rogaczy.

E. M.



Krechowce, 26. marca 1903.

Dnia 21. b. m. zastrzeliłem pierwszą słonkę w lasach krechowieckich. *T. Berwid.*

Kraków, 20. marca 1903.

Podając projekt wskrzeszania „tasaka“, wcale nie spodziewałem się spotkać z jakimkolwiek zarzutem. Tymczasem p. Z. M. twierdzi w ostatnim numerze *„Łowca“*, że wyraz ten żyje, a to we wojsku, w kuchni i na polu. Może być! Lecz ja nie jestem ani nosicielem „faszinenmesera“ ani specyalnym producentem kapusty, ani nie zajmuję się kunsztem kucharskim, tylko całkiem skromnym jestem myśliwym, więc nie przesądzając wcale twierdzę, że w języku myśliwskim „tasak“ chwilowo zaginął, zastąpiły go sztandhauery, faszinenmessery i różne inne, wstrętne każdemu Polakowi, miłującemu swój język ojczysty. Tasaka używali za czasów Mickiewicza tacy myśliwi, jak Hreczechowie, Białopiotrowicze, Rejtani, Radziwiłłowie, którym chyba nie można zarzucić, że wszystko im w lesie przeszkadzało, jakto szanowny korespondent chciał niektórym dzisiejszym myśliwym przypomnieć. Więc, panowie myśliwi, kłujmy dziki kordelasem, a nie hirszfengierem, tasakiem, a nie sztandhauerem wycinajmy w górach gałęzie na ognisko i kolebę, bez obawy, aby nas posądzono o zniewieściałość, bo czynili to, jak to wszystkim wiadomo, lepsi myśliwi, niż prawie wszyscy teraźniejsi.

Bronisław hr. Starzeński.



Miłosław, 21. marca 1903.

Dzisiaj, w pierwszym dniu wiosny, a w wigilię ewangelicznego „Laetare“ pierwszą tu spostrzeżono i ubito słonkę.

Czercze, 15. marca 1903.

Wykaz ubitej zwierzyny za czas od 1. marca 1902 do 28. lutego 1903 w dobrach Wiązownicko Pełkińskich, w powiecie Jarosławskim:

Zwierzyny użytecznej:

Dzików 20, rogaczy 61, zajęcy 608, kuropatw 526, przepiórek 124, chruścieli 41, gołębi 9, dubeltów 6, kszyków 4, kaczek 117, słonek 18, kurek wodnych 2, różnych 3, razem 1539.

Zwierzyny szkodliwej:

Borsuków 4, lisów 126, psów 111, kotów 188, kun 5, tchórzów 22, łasic 4, jastrzębi 153, wron 304, srok 430, różnych 5, razem 1352.

K. Mugler.



*W sprawie słownictwa łowieckiego.**)

Chcąc oczyścić nasz język łowiecki z obcych naleciałości, nie używajmy przedewszystkiem sami łacińsko-greckiego wyrazu „terminologia“. Dziś cała uczona i pisząca Polska wyrzuciła „terminologię“ i zna tylko „słownictwo“ prawnicze, zawodowe, rzemieślnicze, lekarskie, gospodarcze, malarskie i t. d. Nie szukajmy dalej słów nowych, a co więcej, nie twórzmy ich, broń Boże, bo zasób mamy ich obfity. Kwitło u nas łowiectwo, a każdy nasz pisarz, czy tworzył pieśni, czy naukowe pisał dzieła, lub też cudnie niewiązaną bujał mową, brał, jak się z ich dzieł się wielekroć doczytałem, nieraz za broń i w szeregu towarzyszy myśliwych stawał. Proszę sobie przypomnieć tylko słowa z psalmu przez wielu nas zapewne codziennie powtarzanego! „On Ciebie z łowczych obieży wyzuje“, czy te „łowcze obieże“ nie są wspaniałe? A tak jak Kochanowskiemu i Rejowi, Paskowi i Wespazyanowi Kochowskiemu, W. Polowi i Mickiewiczowi, nie obcem było myśliwstwo, tak też dziś, największemu mocarzowi słowa polskiego Sienkiewiczowi jest ono pożądaną rozrywką. A każdy z tych pisarzy wspomnionych, (a szereg ich bardzo długi mógłbym podać), z wdzięczności za doznaną roskosz łowiecką, w swe utwory wplatał słowa na łowach słyszane i brał przeliczne porównania z przebiegu łowów, dla swych obrazów i zestawień przecudnych. W ich utworach tedy leży skarb martwy, słownictwo nasze łowieckie, dobyć go jeno, wyuczyć się go, a biadaniom niesłusznym na ubóstwo mowy naszej w jakimkolwiek kierunku, kres położymy stanowczy. Jest jeszcze i druga skarbnica, otwarta, a mimo to nietknięta, to gwary ludowe, przez wielu niedorzecznych mędrków wyśmiewane bezmyślnie i w nich też nie brak, rzecz dobrze wypowiadających określeń łowieckich.

Daleki jestem od wchodzenia w pisemne spory z członkami naszego Towarzystwa, zasłużonymi współpracownikami *„Łowca“*. Lecz jakby to wyrzec, by towarzyszy myśliwych nie rozśmieszyć i swą powagę ocalić? No, śmiało: Z zawodu jestem badaczem języków

---

*) Z powodu następujących artykułów w „Łowcu“: A. hr. Sumiński: O terminologii, listu p. E. Musila-Daukovsky'ego, redaktora Lov. Svetozora i notatek pp. Bron. hr. Starzeńskiego tudzież p. Z. M.

słowiańskich i ich piśmiennictwa. Znam się więc może na tem nieco, o czem piszę, a nadto wiem, jacyśmy nie zasobni w ludzi piszących, czytających i kupujących książki lub dzienniki. Nie pomysłowością, swą jak mniema A. hr. Sumiński, zdziałali to Niemcy, iż mają bogate swe spisane słownictwo łowieckie i że go używają umiejętnie. Gdyby nasz „*Łowiec*“ był pismem niemieckiem, miałby zapewne kilkanaście tysięcy odbiorców, mógłby się podjąć wydania „Słowniczka gwary łowieckiej“, a podpisany podjąłby się opracowania tego słownika, gdyby na współpracownictwo i radę czytelników naszego pisma mógł liczyć. Liczby jednak mówią zazwyczaj tak smutną prawdę, że lepiej nie dowiadywać się wcale, ile odbiorców mają wszystkie nasze pisma łowieckie razem i tylko cicho wyszepnąć te bolesne słowa: „Nie stać nas nawet na wydanie słownika łowieckiego“. W liście p. redaktora E. Musila-Daukowsky'ego tyle widzę okazanej nam szczerze życzliwości, że z trudnością przychodzi mi wypowiedzenie silnego sprzeciwu przeciw „wypełnianiu braków językowych wyrazami, zaczerpniętymi z pokrewnych języków słowiańskich“. Byłby to sposób tylko wzbogacenia polszczyzny czechizmami, rusycyzmami, gdy już mamy germanizmy i romanizmy.

Podaję wniosek odmienny:

1) Sprawa słownictwa łowieckiego polskiego, niech stanie na porządku dziennym jednego z najbliższych Walnych Zjazdów Towarzystwa Łowieckiego;

2) Wydział Towarzystwa łowieckiego raczy z grona członków Towarzystwa wyznaczyć sprawozdawcę, któryby opracował resztę i przedstawił ją Walnemu Zjazdowi;

3) Kto z członków Towarzystwa posiada już jakie zapiski, w tej dziedzinie poczynione, zechce je nadesłać Wydziałowi, a ten doręczy je mianowanemu przez siebie sprawozdawcy;

4) Artykuł niniejszy powinien wywołać szereg listów, ogłoszonych w „*Łowcu*“, dla dobra podjętej już sprawy.

L. M. Dziama



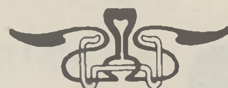
Kronika.

Słonki. Jak dotychczas bardzo skąpe wiadomości dochodzą nas o ciągu słonki. Kilka notatek podaliśmy w korespondencyach — dzienniki niemieckie donoszą, że ciąg rozpoczął się bardzo wcześnie, a mianowicie, że w południowych Niemczech widziano i strzelano już 1-go marca pierwszą słonkę. Pod Stuttgartem w r. 1861 pojawiły się słonki d. 28. lutego — od tego czasu nie pamiętano tak wczesnego przybycia długodziobów — aż dopiero tego roku pojawiły się tak wcześnie.

Dzielny Tim znany powszechnie pies w Londynie, zdechł w tych dniach. Poświęcił on całe życie na ulżenie nędzy rodzajowi ludzkiemu. Przechodnie, podróżni na dworcu Paddington widywali często psa, noszącego na szyi blaszaną skarbonkę, z którą podbiegał, prosząc o datek dla wdów i sierot po oficyalistach kolejowych. Obliczono, że przez 10 lat „Tim“ uzbierał przeszło 17.000 koron. Postanowiono poczciwego „Tima“ wypchać i ustawić go na dworcu, który służył jako teren jego szlachetnej pracy.

Prefekt departamentu niższej Sekwany wydał ciekawe ogłoszenie. W departamencie tym rozmnożyły się wydry bardzo licznie, tak, że szkody wyrządzane przez nie gospodarstwu rybnemu były bardzo znaczne. Za zabicie zatem wydry wyznaczył nagrodę — i to pięć franków za wydrę w zwykłym stanie, dziesięć zaś za kotną samicę. Na dowód ubicia mają być dostarczane przednie łapy zwierzęcia. Ciekawa rzecz, jak p. prefekt pozna po dostarczonych łapkach, czy należą one do kotnej wydry.

W Australii są króliki, jak wiadomo plagą dla rolników. Ponieważ okazało się niemożliwą rzeczą wytępić tych szkodników, postanowili Australczycy wyciągnąć z tej zwierzyny jak największe korzyści. Obecnie żyją setki osób z polowania na króliki i wysyłają upolowaną zwierzynę do Anglii, która w ten sposób otrzymuje tanią a bardzo delikatną dziczyznę. Przed dwoma laty wywieziono do Anglii taką ilość królików, że jak pisał „Agricultural Journal of Victoria“ co do wagi równały się ciężarowi 750.000 średniej wagi owiec. W zeszłym roku otrzymała Anglia z samej kolonii Wiktorya 2,271.000 par królików — oprócz tego więcej niż 800.000 kg. konserw z mięsa króliczego. Myśliwi na króliki (postępują sobie przy łapaniu królików w ten sposób, że w południe nastawiają paści, wieczorem zaś, o północy i nad ranem rewidują je, wyjmują złapane króliki, kładą je w cieniu drzewa, przykrywajęc suknem, aby uchronić je od much. O pewnym czasie nadchodzi wóz, który zabiera zabite króliki i przewozi je do najbliższej stacyi, skąd nadają je do Melbourne. Tutaj umieszczają je w lodowni miejskiej, gdzie je rewidują inspektorzy, którzy oceniają według wagi i stanu świeżości, czy króliki nadają się do eksportu. Jeżeli 24 króliki ważą mniej niż 21 kg. zostają na miejscową potrzebę. Króliki przeznaczone do exportu pakują w skrzynie z łat sporządzone i umieszczają na nowo w lodowniach. Tu po trzech lub czterech dniach zamarzają króliki zupełnie, poczem ładują je do wozów z izolowanemi ścianami i przewożą na okręty, gdzie również znajdują się lodownie.



DROBNE OGŁOSZENIA.

Jest do sprzedania jamnik czarny, rasy niemieckiej krótkowłosy, dwa lata mający, do polowania na zające i sarny — dobry jako stróż domowy, cena 20 kor. Wiadomość Józef Gödel, Lwów, Piastów 23.

Kalendarz myśliwski leśny i rybacki na r. 1903, już opuścił prasy drukarskie. Zawiera obfity dział myśliwsko-leśniczy. — Do nabycia u p. A. Dzikowskiego, ul. Karola Ludwika l. 1.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.